

## Co ujrzeli w krainie Eldorado

Autor tekstu: **Wolter**

**K**akambo zdradził gospodarzowi swą ciekawość, tamten zaś odpowiedział:

- Jestem człowiek bardzo nieuczony i dobrze mi się z tym dzieje; ale mamy tu starca, który żył niegdyś na dworze: to najcześniejszy człek w całym królestwie i bardzo przystępny.

Za czym, poprowadził Kakambę do starca. Kandyd grał jedynie podrzędną rolę i towarzyszył swemu słudze. Weszli do domostwa bardzo skromnego, brama była srebrna, gzymsy zaś tylko złote, ale obrobione z takim smakiem, iż najbogatsze stiuki nie byłyby ich zaćmiły. Przedpokój był, po prawdzie, wykładany jedynie rubinami i szmaragdami; ale gust ich wzoru okupywał nadmierną prostotę. Starzec przyjął cudzoziemców na sofie wyściełanej pierzem kolibrów i podał im chłodniki w naczyniach rżniętych w diamentcie; po czym zaspokoił ich ciekawość w tych słowach:

- Liczę sto siedemdziesiąt i dwa lata i słyszałem od nieboszczyka ojca, koniuszego królewskiego, o nadzwyczajnych przeobrażeniach krainy Peru, których on był świadkiem. Królestwo, w którym się znajdujemy, jest dawną ojczyzną Inkasów, opuścili je bardzo nieroztropnie z zamiarem ujarzmania nowych krajów i w końcu ponieśli śmierć z ręki Hiszpanów. Ci książęta, którzy zostali w ojczyźnie, byli rozsądniejsi; nakazali, za zgodą narodu, iż żaden mieszkaniec nie wyjdzie nigdy poza granice królestwa; oto co zachowało nam dawną niewinność i szczęście. Hiszpanie mają niejasne wiadomości o tym kraju: nazywają go Eldorado; pewien Anglik, nazwiskiem kawaler Raleigh [1], zbliżył się doń, mniej więcej przed stu laty; ale, ponieważ kraj nasz otoczony jest niedostępnymi skałami i przepaściami, byliśmy dotąd bezpieczni od drapieżności narodów Europy, które dziwnie są łase na kamienie i muł naszej ziemi i które, aby je osiąść, wymordowałyby nas do ostatniego.

Rozmowa trwała długo: przedmiotem jej była forma rządu, obyczaje, kobiety, publiczne widowiska, sztuki. Wreszcie, Kandyd, który zawsze miał zamiłowanie do metafizyki, zapytał przez Kakamba czy mieszkańcy tego kraju mają jakąś religię.

Starzec zarumienił się nieco.

- Jak to! rzekł, możecie wątpić? Czy bierzecie nas za niewdzięczników?

Kakambo spytał nieśmiało, co za religię wyznają. Starzec poczerwieniał znowu:

- Czyż mogą być dwie? — zawołał — Mamy, jak sądzę, religię całego świata; uwielbiamy Boga od wieczora do rana.

- Czy uwielbiacie tylko jednego Boga? — rzekł Kakambo, wciąż służąc za tłumacza wątpliwościom Kandyda.

- Oczywiście — rzekł starzec — że nie ma ich dwóch, trzech ani czterech. Przyznam się, że ludzie z waszych stron zadają dosyć osobliwe pytania.

Kandyd nie przestawał zasypywać pytaniami dobrego starca; chciał wiedzieć, w jaki sposób zanoszą się prośby do Boga w Eldorado.

Nie zanosimy ich wcale — rzekł dobry i czcigodny mędrzec — nie mamy go o co prosić, dał wszystko czego nam trzeba; dziękujemy mu bez przerwy.

Kandyd ciekaw był zobaczyć kapłanów: spytał, przez Kakambę, gdzie się znajdują. Dobry starzec uśmiechnął się.

- Moi panowie — rzekł — wszyscy tu jesteśmy kapłanami; król i wszyscy ojcowie rodzin śpiewają uroczyste dziękczynne pieśni co rano, a kilkutysięczny chór towarzyszy im.

— Jak to! nie macie mnichów, którzy nauczają, dysputują, rządzą, knują i palą żywcem ludzi będących innego zdania?

- Chybabyśmy oszaleli — odparł starzec — wszyscy jesteśmy tu jednego zdania: nie rozumiem, co to za mnichy, o których mówisz.

Słyszając to, Kandyd rozplywał się w zachwycie i powiadał sobie w duchu: „To grubo odmienne niż Westfalia i zamek wielmożnego barona: gdyby przyjaciel Pangloss widział Eldorado, nie byłby już powiadał, że zamek Thunder-ten-tronckh jest możliwie najlepszym tworem na ziemi; to pewna, że podróże kształcą”.

Po długiej rozmowie, dobry starzec kazał zaprząć karocę w sześć baranów i przydał podróżnym dwunastu ludzi, aby ich zawieźli do dworu.

- Darujcie, rzekł, iż wiek pozbawia mnie zaszczytu towarzyszenia wam. Król przyjmie was w sposób na który nie będziecie się pewnie uskarżać, a jeśli to lub owo nie przypadnie wam u stołu do smaku, raczycie wybaczyć.

Kandyd i Kakambo wsiedli do karocy; barany pomknęły jak wiatr. W niespełna cztery godziny zajechali przed pałac królewski, położony na krańcu stolicy. Pałac wysoki był na dwadzieścia stóp, a na sto szeroki; niepodobna opisać, z jakiej materii był zbudowany. Łatwo sobie wyobrazić, o ile musiała ona przewyższać kamyki i piasek, które nazywamy złotem i drogimi kamieniami.

Dwadzieścia pięknych dziewcząt, sprawujących straż, przyjęły Kandyda i Kakambę w progu, zawiodły ich do łaźni, ubrały w suknie tkane z puchu kolibrą; po czym, wielcy oficerowie i wielkie oficerki Korony zaprowadzili ich do komnat Jego Królewskiej Mości. Szli, wedle tamecznego obyczaju, między dwoma rzędami muzykantów; każdy po tysiąc ludzi. Kiedy zbliżali się do sali tronowej, Kakambo spytał ochmistrza, jak należy pozdrawiać Majestat; czy padając na ziemię kolanami czy brzuchem; czy przykładając ręce do głowy czy do pośladków; czy zlizując proch z podłogi; słowem, jaki jest ceremoniał.

- Zwyczaj jest — odparł ochmistrz, ucisnąć króla i ucałować go w oba policzki.

Kandyd i Kakambo rzucili się na szyję Majestatowi, który przyjął ich z nieopisaną uprzejmością i zaprosił grzecznie na wieczerzę.

Tymczasem oprowadzono ich po mieście, pokazano budynki publiczne wznoszące się pod chmury, stopnie ozdobione tysiącnymi kolumnami, fontanny z czystej wody, fontanny z wody różanej, ze słodkich likierów, które płynęły ustawicznie po wielkich placach wyłożonych jakimś drogim kamieniem, wydającym zapach podobny do woni goździków i cynamonu. Kandyd zapragnął widzieć gmachy sądowi, pałac sprawiedliwości; powiedziano mu, że nic podobnego nie istnieje i że w tym kraju nie znają procesów. Spytał, czy istnieją więzienia; powiedziano mu że nie. Co go najwięcej i najprzyjemniej zdziwiło, to Pałac Nauk, z galerią długą na dwa tysiące kroków, szczelnie zapełnioną matematycznymi i fizycznymi przyrządami. Oprowadziwszy gości, w ciągu popołudnia, po tysiącnej może części całego miasta, zawiedziono ich z powrotem do pałacu. Kandyd siadł do stołu w towarzystwie króla, sługi swego Kakamby i licznych dam. Nigdy nie widziano znakomitszej zastawy, i nigdy nikt nie iskrzył się tak dowcipem przy wieczerzy, jak król owej krainy. Kakambo tłumaczył Kandydowi wszystkie trefne odezwania króla, które, nawet przetłumaczone, nie traciły swej trefności. Ze wszystkich rzeczy które zdumiewały Kandyda, ta pewnie nie najmniejszy dawała mu powód do zdziwienia.

Spędzili miesiąc w tej gościnie. Kandyd bez ustanku powtarzał:

- To prawda, przyjacielu, jeszcze raz ci przyznaję, że zamek, w którym się urodziłem, nie umył się do tej rozkosznej krainy; ale cóż! nie ma tu Kundegundy, a i ty zostawiłeś pewnie jaką damę serca w Europie. Jeśli zostaniemy tutaj, będziemy po prostu tym co drudzy; jeśli natomiast wrócimy do kraju, bodaj z tuzinem baranów obładowanych tutejszymi kamykami, staniemy się bogatsi niż wszyscy królowie razem, nie będziemy się musieli obawiać inkwizytorów i z łatwością zdołamy odzyskać Kunegudę.

Ten pogląd spodobał się Kakambie; tak miło jest uganiać się po świecie, odgrywać ważną rolę wśród swoich, popisywać się tym co się widziało w podróżach, iż dwaj szczęśliwcy postanowili wyrzec się swego szczęścia i prosić najjaśniejszego króla o pozwolenie odjazdu.

- Robicie głupstwo — rzekł król — wiem dobrze, że w moim kraju nie ma nic nadzwyczajnego; ale, kiedy człowiekowi jest gdzieś znośnie, trzeba się tego trzymać. Nie mam oczywiście prawa zatrzymywać cudzoziemców; byłaby to tyrania obca zarówno naszym prawom jak i obyczajom; wszyscy ludzie są wolni; jedźcie kiedy chcecie; ale wydostać się stąd jest dosyć trudno. Nie podobna jest płynąć pod prąd bystrej rzeki, którą dostaliście się tu cudem i która kryje się pod sklepieniem skał. Góry, które otaczają całe królestwo, mają dziesięć tysięcy stóp i strome są jak ściana; każda ma w obwodzie więcej niż dziesięć mil; zejścia z nich nie ma, chyba prosto w przepaść. Mimo to, skoro koniecznie chcecie jechać, dam rozkaz inżynierom, aby zbudowali maszynę, która by was mogła wygodnie stąd przenieść. Skoro się znajdziecie poza górami, nikt z tutejszych nie będzie wam mógł towarzyszyć; poddani moi uczynili ślub nie opuszczać nigdy tej doliny, a zbyt są roztropni aby go łamać. Poza tym, możecie mnie prosić o wszystko co się wam spodoba.

- Prosimy waszą królewską moc — rzekł Kakambo — jedynie o kilka baranów, obładowanych żywnością, kamykami i błotem tego kraju.

Król zaśmiał się:

- Nie rozumiem — rzekł — co za upodobanie mają wasi ziomkowie europejscy w naszym

zółtym błocie, ale weźcie ile się wam podoba i niech wam służy.

Wydał natychmiast rozkaz inżynierom, aby zbudowali maszynę celem wywiezienia tych pomysłowców poza granice królestwa. Trzy tysiące dzielnych fizyków wzięło się do pracy; dzieło było gotowe po upływie dwóch tygodni, a kosztowało nie więcej niż dwadzieścia milionów funtów szterlingów wedle miejscowej monety. Usadowiono na maszynie Kandyda i Kakambę; przydano im dwa wielkie czerwone barany, osiodłane i zaopatrzone we wszystko co trzeba aby służyły za wierzchowce cudzoziemcom, skoro przebędą góry; dalej dwadzieścia baranów jucznych, obładowanych żywnością; trzydzieści dźwigających dary, złożone ze wszystkiego co było najosobliwsze w tym kraju; pięćdziesiąt wreszcie obładowanych złotem, drogimi kamieniami i diamentami. Król uściskał serdecznie obieżyświatów.

Piękne to było widowisko ten odjazd! Nic nie da się porównać zprzemyślnością, z jaką wywindowano ich, wraz z całym stadkiem baranów, na szczyt góry. Odstawiwszy ich w bezpieczne miejsce fizycy pożegnali cudzoziemców, Kandyd zaś nie miał od tej chwili innego pragnienia i celu, jak tylko zawieść swoje barany do stóp panny Kunegundy.

- Mamy — powiadał — czym opłacić gubernatora, jeżeli może istnieć jakaś cena zdolna opłacić łaski panny Kunegundy. Idźmy w kierunku Kajenny, siądziemy na okręt; zobaczymy później, jakie królestwo uda się nam zakupić. [as]

---

Przypisy:

**[1]** Walter Raleigh (1552-1618) awanturniczy podróżnik angielski.

(Publikacja: 01-09-2002 Ostatnia zmiana: 09-10-2004)

Oryginał. (<http://www.racjonalista.pl/kk.php/s,411>)

Contents Copyright © 2000-2008 Mariusz Agnosiewicz

Programming Copyright © 2001-2008 Michał Przech

Autorem tej witryny jest Michał Przech, zwany niżej Autorem.

Właścicielem witryny są Mariusz Agnosiewicz oraz Autor.

Żadna część niniejszych opracowań nie może być wykorzystywana w celach komercyjnych, bez uprzedniej pisemnej zgody Właściciela, który zastrzega sobie niniejszym wszelkie prawa, przewidziane w przepisach szczególnych, oraz zgodnie z prawem cywilnym i handlowym, w szczególności z tytułu praw autorskich, wynalazczych, znaków towarowych do tej witryny i jakiegokolwiek ich części.

Wszystkie strony tego serwisu, wliczając w to strukturę katalogów, skrypty oraz inne programy komputerowe, zostały wytworzone i są administrowane przez Autora.

Stanowią one wyłączną własność Właściciela. Właściciel zastrzega sobie prawo do okresowych modyfikacji zawartości tej witryny oraz opisu niniejszych Praw Autorskich bez uprzedniego powiadomienia. Jeżeli nie akceptujesz tej polityki możesz nie odwiedzać tej witryny i nie korzystać z jej zasobów.

Informacje zawarte na tej witrynie przeznaczone są do użytku prywatnego osób odwiedzających te strony. Można je pobierać, drukować i przeglądać jedynie w celach informacyjnych, bez czerpania z tego tytułu korzyści finansowych lub pobierania wynagrodzenia w dowolnej formie. Modyfikacja zawartości stron oraz skryptów jest zabroniona. Niniejszym udziela się zgody na swobodne kopiowanie dokumentów serwisu Racjonalista.pl tak w formie elektronicznej, jak i drukowanej, w celach innych niż handlowe, z zachowaniem tej informacji.

Plik PDF, który czytasz, może być rozpowszechniany jedynie w formie oryginalnej,  
Racjonalista.pl

Strona 3 z 4

w jakiej występuje na witrynie. **Plik ten nie może być traktowany jako oficjalna lub oryginalna wersja tekstu, jaki zawiera.**

Treść tego zapisu stosuje się do wersji zarówno polsko jak i angielskojęzycznych serwisu pod domenami Racjonalista.pl, TheRationalist.eu.org oraz Neutrum.eu.org.

Wszelkie pytania prosimy kierować do [redakcja@racjonalista.pl](mailto:redakcja@racjonalista.pl)